

Światek Młodzieży

Tygodnik dla młodzieży Pomorskiej. ♦ Wychodzi co niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Głosu Pomorskiego“.

Opisała Ciocia Kocia.

Dziwne koleje dzieciniego losu.

Państwo Służewscy mieszkali w powiatowym mieście R. Mieli wprawdzie majątek ziemski na Wołyniu, lecz opuścić musieli wioskę dla kształcenia dzieci, których mieli sporą gromadkę — i latem tylko wyjeżdżali do ukochanego Skarbczyka.

Dwór w Skarbczyku pamiętał dobrze czasy niewoli kraju naszego, i wiele krzywd i ucisku doznawali mieszkańcy tego od wroga; — widział również okropności wojny ostatniej — przejścia wojsk bolszewickich, i walki różne po okolicznych lasach i polach, a wiele mogił rozslanych dokoła, kryło bohaterów naszych, walczących w obronie ukochanej ziemi rodzinnej.

Długo wytrwali na stanowisku Państwo Służewscy, nie opuszczając rodzinnego zakątka i ufając w przywiązanie miejscowej ludności; w końcu jednak zawiódłszy się na niej boleśnie, wyjechali do Warszawy i tu lat kilka spędzili wśród wielu okoliczności nader smutnych, — a gdy nareszcie pod Warszawą Ojczyzna nasza mogła zatrzymać nad wrogiem, mimo strat majątkowych niezrównanych, — mimo utraty dwojga drobnych dzieci — Państwo Służewscy powrócili do Skarbczyka i powoli, w ciągu lat paru, ukochane gniazdo rodzinne doprowadzili do lepszego stanu.

Dzieci wszakże podrasstały, a z powodu zamieszek wojennych w nauce zaniedbane zostały, należało więc myśleć o ich kształceniu i Pani Służewska wyjechała do powiatowego miasta R. i tam prawdziwie po macierzyńsku czuwała nad dziećmi i ich nauką, a mąż jej, dostylając ze wsi trochę żywnościowych zapasów — stale tam gospodarował — odwiedzając tylko czasem w R. rodzinę, witającą go zawsze radośnie i z utęsknieniem.

Rodzina składała się z 5-ga dzieci żyjących. Najstarszy Edzio miał już lat 17 i chodził do klasy siódmej gimnazjum klasycznego w R. Piętnastoletnia Hanusia była w klasie czwartej na pensji Panny P. — Jozio, kończący lat 13, do drugiej klasy uczęszczał — a bliźniaczki dziesięcioletnie, Steficia i Helcia, garnęły się też z ochotą do nauki, naśladowując starsze rodzeństwo i do pierwszej klasy chodziły. Najmłodszych dwoje, rocznego Steficia i dwuletnią Irenkę, stracili Państwo Służewscy w czasie rozruchów wojennych, prawie na początku wojny — gdy Moskale zwyciężywszy Niemców — a następnie cofając się przed nimi, wszystkich niemal mieszkańców zmuszali siłą do uciekania w głąb Rosji. Wówczas to stary lokaj Mateusz wraz z żoną jadący na wóz rodzinę swoją, spostrzegł w pobliżu siostrę, będącą mamką małego Stasia i dwoje dzieci przy niej; a że chwili już do stracenia nie było — bo żołnierze moskiewscy wapędzali ludność do ucieczki — pochwycił małą Irenkę i wraz z mamką i Stasiem umieścił ze swoją rodziną na zaprzężonym wozie i popędził w nieznane strony.

Państwo Służewscy uciekając również w popłochu szalonym, spostrzegli nieobecność mamki i małych dzieci, nie mieli jednak czasu na poszukiwania ich, a przypuszczając, że stary Mateusz zabrał siostrę swą i dzieci na swoją furmankę, sądzili, że ich wkrótce dogonią i odbiorą. Tymczasem groza wojenna ogarnęła kraj cały, ludzko pogubili się w zamęcie, i w ten sposób Państwo Służewscy, powróciwszy po roku wygnania do Skarbczyka, o Mateuszu i dzieciach zgoła nic nie wiedzieli, a dopiero w kilka, gdy Pani Służewska przentosa się do

miasta R. dla kształcenia dzieci, mimo starań przeróżnych, o maleństwach swoich nie się dowiedzieć nie mogli. Zaczęli przypuszczać, że wśród okropności rewolucyjnych, cała rodzina wiernego sługi, a z nią i ich dzieci, padły ofiarą śmierci i wszyscy, a zwłaszcza Matka w nieutulonym żalu oplakiwała utracone w tak straszny sposób.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Podanie o założeniu Warszawy.

Dawno, bardzo dawno temu, więcej niż pięćset lat, tu gdzie dziś jest Warszawa, była puszcza nieprzebyta, stara, szumiąca, głucha, pełna leśnego zwierza, i mroku, i wilgoci.

Mazowieckie puszcze dłużej przetrwały od innych, kraj tu mniej był zaludniony, ziemi nie brakowało nikomu, to niech tam sobie rosną. Książęta Mazowieccy bardzo lubili łowy, więc mieli gdzie polować.

Do tej prastarej knieji zajechał raz książę Kazimierz. Jaki to był Kazimierz niewiadomo. Na Mazowszu nazywało się tak wielu książąt.

Ten Kazimierz zawzięcie widać gonił zwierza, oddał się od swoich i zabłąkał w puszczy. Już był wieczór, kiedy zgłodniały, zmęczony, znalazł się na wzgórzu nad szeroką rzeką i pomiędzy drzewami ujrzał lichą chatkę. Ta rzeka to była Wisła. W chatce biedna kobieta na nędznym barłogu karmiła dwoje dzieci, dwoje bliźniąt, z których chłopiec miał imię War, a dziewczynka Sawa. Tu książę się posilił i znalazł schronienie. Chata była uboga, ale mieszkańcy mieli jakiś skromny zapas żywności: orzechy, miód, mięso suszone. Z stawiono przed gościem, co można było znaleźć, bo cnota gościnności przecież obowiązkiem.

A litościwy książę, wzruszony tem ubóstwem i zachwycony pięknnością widoku na rzekę, postanowił założyć tu osadę. Więc bliźnięta sam trzymał do chrztu i wziął pod swoją opiekę; na wzgórzu kazał pobudować domy; wycięto kawał lasu, i powstały ludzkie siedziby, które od imion dzieci nazwano War-Sawą.

Dziś jeszcze pokazują w Warszawie dom stary, na rogu ulicy Piwnej i Dunaju, gdzie na murowanej kamienicy widać niezgrabną rzeźbę, niby kobietę z dwojgiem dzieci i mówią, że w tem miejscu stała niegdyś owa uboga lepianka.

Nadesłała „Wisotka“.

Rogóźno.

W Rogóźnie stał śliczny stary zamek, z którego już tylko niektóre części zostały. Zamek rogóziński stoi na wysokim wzniesieniu (150 stóp) przy ujściu Jardegi do Osy. Stoki góry opadają z trzech stron miejscami prostopadle, tylko od zachodu jest wolny przystęp. Zamek, ten zbudowali Krzyżacy, aby zabezpieczyć sobie przejście przez Ossę pod Słupem do Pomezanji. W tym celu wzniesli też warownię w Białachowie i Łasinie.

Już w roku 1285 musiał być tu gród warowny, bo napotykamy tu komtura. Granice woj. rogózińskiego rozciągały się po obu stronach Ossy, między bisk. pomerańskim, a komturstwem grudziądzkim, pokrzywińskim i radzyńskim. Te ostatnie tworzyły dawniej osobne komturstwo, po r. 1416 kom. pokrzywińskie zwinięto i połączone z rogózińskim.

Za czasów w. mistrza Siegfrieda von Feuchtwangen odbyła się na zamku generalna kapituła, na którą przybyło 51 komturów. Cesarzowi Karolowi IV podobał się bardzo zamek i ubiegał się o niego u Krzyżaków, ale mu go nie odstąpili.

W bitwie pod Grunwaldem dostała się chorągiew tutejszego komtura w ręce Polaków, zamek też zajęli Polacy, a król Jagiełło dał go Czechowi Kinczkowi. W 13-letniej wojnie był zamek znowu w rękach polskich (1454 r.). Pokój toruński (r. 1466) oddał zamek Polsce.

1 kwietnia 1628 r. rozłożyli się Szwedzi, pod wodzą Wrangla i hr. Tunch, między Gardeją, a Grudziądem i zniszczyli okolicę i coś 20 wsi rogozińskich, które dzierżawił Jan Działyński. Wojsko to wnet się cofnęło, ale wkrótce zjawił się król Gustaw Adolf sam pod zamkiem i kazał na południowo zachodniej stronie jedną część muru zamkowego wraz z okrągłą wieżą wysadzić w powietrze. Miejsce to jeszcze dziś rozpoznać można. Ale Szwedzi wnet ustąpili i wkrótce w zamku była już polska załoga. Spustoszenia, które r. 1454 i 1628 spotkały zamek, zostały zatarte, ale stare mury coraz bardziej zaczęły podupadać. Przy okupacji pruskiej stały przynajmniej jeszcze główne części zamku, ale krótko potem zaczęto je rozbierać, aby uzyskać materiału do twierdzy grudziądzkiej.

Na zamku była kaplica, która w starych spisach inwentarskich ma nazwę kościoła. Kaplica ta była strasznie zrujnowana. Dopiero od r. 1590 miano o nią lepsze staranie. Z rozkazu królewskiego odnowiono kaplicę i ustanowiono kapelana, któremu król Zygmunt III wyznaczał sam pensję. Podczas wojny szwedzkiej kaplica została zrujnowana. Po wojnie szwedzkiej królowie polscy zamek i kaplicę odbudowali i nieraz tu przebywali. Po rozbiórce Rzplitej domagał się niejaki Stoski u króla pruskiego, aby kaplicę przeznaczono protestantom, ale król pruski nie chciał się na to zgodzić.

(Ze starej książki dla czytelników „Świątka“ wypisał „Promyczek“).

„Indjanie“.

Był to naród koczowniczy, który żył w Ameryce Południowej i Północnej. Indjanie przenosili się z jednego na drugie miejsce i prowadzili walki z innymi plemionami, a w wolnych chwilach trudnili się myślistwem. Polowali na bawoły w ten sposób, że okrażali całe stado i upatrzone sobie bawoły celnymi strzałami z łuku zabijali. Zabite bawoły przywozili przed swoje wigwamy czyli namioty i skórę zdzierali a mięso krajali na kawały i suszyli na słońcu. Żywili się mięsem suszonym, albo pieczonym na wolnym ogniu. Wigwamy były namioty z skóry bawolej, które z sobą przenosili. Za broń służył im łuk, toporek, nóż i łąso, którym łapali dzikie konie i bawoły.

Napisał „Szlachetny Unkas“.

Przygoda Macieja Strykowskiego.

Maciej Strykowski, sławny kronikarz polski, urodził się w Ostrowie, w Łęczyckiem, 1547 roku. Ledwie odrósł cokolwiek od ziemi, o własnej puścił się mocy, głosił przemówił dziecięcym, już wesołością, rozumem rodziców cieszył, dziwił czeladkę. Świeży jak wiosna, jak iskra żywy, obraz swobody i zdrowia, całym był szczęściem rodziców, całą ich życia przyszłością.

Właśnie rok piąty był zaczął. W sierpniowy wieczór pod modrzewiowym siedząc dworem, ojciec i matka słodką o synu prowadzili rozmowę. W ciągu dnia dał dowody nadzwyczajnego dowcipu, potem na czterokrotnym podwórzu zrećnie wyprawiał skoki i pląsy. Teraz jak hetman pobiegł do sadu na czele dzieci wiejskich tam ich do boju zwykle szykował, tam z nimi grał wesoło.

Rodzice o swych nadziejach mówili. W tem odgłos przeraźliwego krzyku odbija się o ich uszy; był tam krzyk jeden, co matki serce wskroś przeszył; powstała drży cała, bieży. Ojciec, zawsze od niej silniejszy, dąży jej wyciągnąć nie może...

Jedynak bawił się w sadzie, tam jest głęboka sadzawka, tam dąży, ku miejscu temu. Zbliźnane zwracają oczy, widzą rozbiegłą dżiatek gromadę, jakby przed wiatkiem owieczek trzode. jedno za drzewami stawa, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie co zdażyć może, w cieką, a wszystkie płaczą i krzyczą:

— Panicz utonął, utonął!

Już prawie bez tchu rodzice dwoja swój krok, stają nareszcie nad brzegiem wodv, zrazu nie na powierzchni nie widzac, lecz wkrótce już bez oporu ciało ich syna wypływa.

Zanurza się ojciec w wodę, nieszczęsnej matce stać przykazuje, wyciąga dziecko, na brzeg je kładzie. Porywa matka mokre dzieciątko, woła na nie — nie słyszysz, tuli do łona, — nie czuje; bierze je ojciec, — też samoj niosą je pędem do domu, a krew w ich żyłach zimniejszą od zimnej wody, co na nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzi zewsząd stare niewiasty, każdy coś radzi, wskazuje, każdego ojciec i matka słucha, co tylko radzą — robią, próbują, — a dziecko zawsze nieżywe. Sine, odęte i zimne leży zmartwiałe ciało chłopczyny, każdy je sobie podaje każdy go cuci, potrząsa, naciera, a dziecko zawsze nieżywe.

Rodzice rwa włosy, łamią ręce, dawniejsze wznawiają śluby, świętych wzywają pomocy; lecz niebo głuchem się zdaje, i dziecko leży nieżywe.

— Próżne te nasze mozoły odbiegły duszy już nie wróci! — tak mówią cicho pleban i lekarz, tak cicho mówi czeladka.

Słońko zachodzi noc cała mija, dzień drugi spływa okropny: już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje w duszy zbolejał.

Widząc spełnione srogie nieszczęście, troskliwy pleban z lekarzem rodziców ciągną do drugiej izby, cichaczem trumne przynoszą. Płacze sedziwa niastunka, obleka dziecko w białą koszulke, zesze włosy gładko czesze równianką z kwiatów je stroi, kładzie w ostatnią ludzi lożnicę.

— Tak cię ja kładłam w kołyskę — mówi do niego żalana Izami — tak ty mnie w trumne położyć miałeś!

W tej chwili wpada stworzona matka.

— Okrutna! cóż czynisz? — boleśnie woła — alboż to dziecko.

— Umarło — pleban dokończą — umarła twoja pociecha. Ten co ja zesłał przyzwał do siebie. Ten, co pożyczyl, odebrać może. Poddaj się woli Pana, niewiasto! szanuj z pokorą wyrok Jego.

Kięka niewiasta, obok niej ojciec: oboje ręce do nieba wnoszą, usta ich mówią razem te słowa:

— Panie, jeśli możesz oddal ten kielich — jednakże nie dżiatek wola — Twoja. Ojczy niech się stanie!

Tak rzekł wzmocnieni wstają i mówią głośno:

— Weźcie już dziecko!

Cisnie się tłumnie czeladka, do dwóch kościołów pleban znać daje, sam się w żałobne szaty odziewa; biorą trumienkę domowi, niosą na barkach odkrytą; wybladła matka zwłok się dotyka, drząc cały, ojciec żonę podpira. Idzie przez miasto orszak w milczeniu, wybiegli z domów mieszkańcy, co krok to grono zwiększała, każdy w cichości dziecięcia płacze, a więcej, jeszcze jego rodziców.

Nagle w obydwóch kościołach huczny głoś dzwonnów powietrze wstrząsa a matka czuje zimnych zwłok drgnienie. Krzyknęła, stają lekarz przybiega, kładą na ziemi trumienkę i znowu lekkie czuń trganie. Porywa matka z trumienki dziecko, osłania je suknią, rekoma, chce z niem uciekać; wstrzymuje lekarz jej obłakanie, pomału iść rozkazuje, strwożonej rzeszy brzytwę zabrania do swego domu matkę wprowadza, tam dziec

w ciepłe łoże kładzie, tam je sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głosi. milczenie, cichość zaleca; matka i ojciec dech swój wstrzymują.

Po krótkiej chwili serce dzieciny mocniej uderza, po całym ciałku dech się rozchodzi, dziecię do życia powraca. Nieknie z wolna siność z twarzy, krew przebijając się zaczyna, odmyka dziecię oczka zawarte i ku rodzicom je zwraca, blade usteczka nawpół otwiera, chciało przemówić, uwieźły słowa, lecz się uśmiechnąć zdołało.

— O Boże! wszechmocny Boże! — wyrzekła cicho przejeta matka i lzy szczęścia ciężar strapienia uniosły! Zaledwie trzy dni minęły, już na podwórzu biegają jedyńcy, już był na nowo szczęściem rodziców.

nap. Klementyna Hoffmanowa.
nad. Kotka, ucz. III kl. gimn. żeń.

Ciekawość ukarana.

Stoi Dzidzia przed szafeczką,
Widzi na niej pudeleczeko.
Co w nim jest, ciekawość nęci,
Więc nabrała wielkiej chęci.
Zajrzeć rada, ale jak,
Kiedy to wysoko tak!
Wiem już — myśli Dzidzia mała —
Bo obok krzeselka stała.
Przysuwa więc krzeselczko.
— „Zaraz będzie pudeleczeko“.
Na krzeselku trzeba stać,
Żeby było lepiej brać.
Wspina się mała niecnota,
Trudna dla niej to robota.
Już, już sięga po pudełko...
A w tem buch! a z nią krzeselko!
Spadła psótka Dzidzia mała,
Potłukła się pewnie cała;
Pudło na nią też zleciało...
Masz Dzidziu, czego się chciało!

Ułożył Leszek Słomczewski, ucz. III kl.

Świerszczyk.

Wicher wieje, deszcz zacina,
Jesień, jesień już!
Świerka świerszczyk u komina,
Naszej chaty stróż
Świerka świerszczyk co wieczora
I nagania nas:
Spać już, dzieci, spać już pora!
Wielki na was czas.
Mój świerszczyku, bądźże cicho,
Nie dokuczaj nam.
To uparte jakieś licho!
Spijże sobie sam.
Siwy dziadek wiąże sieci,
Prawi nam, aż strach.
A tam wicher skroć zamieci
Bije o nasz dach.
Dziadek dziwy przypomina,
Prędko płynie czas,
Próżno świerszczyk z za komina
Do snu woła nas.

M. Konopnicka
nad. „Złota Tarcza“.

Czem ja będę?

Nieraz sobie myślę o tem:
Czem ja będę, gdy urosnę?
Czy kuć będę w kuźni młotem,
Czy siekierą ciosać sosnę?
Czy też może własną grzędę
Orać przyjdzie sochą krzywą?
Czy na tratwach flisem będę
Wisłą splawiał złote zniwo?
Czy zapadłszy w puszcze, w knieje,
Dzielnym stanę się leśnikiem.
Co to nigdy nie błednieje,
Choć się spotka z wilkiem, z dzikiem?
Albo może będę badał
Hen na niebie księżyc złoty,
Ludziom dziwy opowiadał
I tłumaczył gwiazd obroty?

Może w księgach się zagrzebię
Aż po uszy, aż do brody!
I jak pszczoła zgubię siebie,
Słodkie braciom ciągnąc miody,
O to jedno proszę Boga,
Niech mnie darzy szczęściem takim:
Jak bądź pójdzie moja droga,
Żebym nie był złym Polakiem.

Nadesłała: Wiselka.

Tęcza.

A kto ciebie, śliczna tęczo
Siedmiobarwny pasie,
Wymalował na tej obmurce,
Jakby na atlasie?
Słoneczko mnie malowało
Po deszczu po burzy;
Pożyczyło sobie farby
Od rozkwitłej róży.
Pożyczyło sobie farby,
Od kwiatów na grzędzie!
Malowało tęczę na znak,
Że deszczu nie będzie.

Nadesłała: Wiselka.

Rozmaitości

Jak pies bolszewika oszukał.

W Podwołoczyskach we Wschodniej Małopolsce graniczącej z bolszewją, prowadzili w początkach bolszewicy ożywiony handel z przekupniami polskimi, zwłaszcza żydowskimi. Jeden z nich miał psa, który towarzyszył swemu panu przy załatwianiu interesu pewnego dnia, patrząc, jak bolszewik pieniądze płacił pies poczyna się niepokoić, podnosi pysk i mówi wyraźnie:

— Uważaj! fałszywe!
Bolszewik, z guberni permskiej, otwiera ze zdziwieniem gębę:
— A to co!?
— Nic wielkiego — odpowiada przekupień — mam psa, który doskonale zna się na złotych monetach. Nauczylem go mówić i teraz zwraca mi zawsze uwagę.
— wymień, towarzysz, tę dziesięciorublowkę.
— Pies, umiejacw mówić?!

— Coż w tem dziwnego? U nas jest takich wiele. A u was nie?

Bolszewik zapomniał, że w nic nie wierzy i przeżegnał się trzy razy. Ogarnęła go jednak wielka chęć kupienia tego psa.

— Sto rubli! dwieście! trzysta!

— Nie sprzedawaj mnie bolszewikowi! Błagam cię! — wyje pies, zadzierając głowę, jakby chciał wyskoczyć ze skóry.

Komisarz dostaje gorączki:

— Pięćset rubli, sześćset, prawdziwym złotem! —

Przy tysiącu handlarz sacharyny zaczął się wahać, choć pieś coraz gwałtowniej protestował przeciw tej transakcji. W końcu ustąpił za 1500 rubli, które zostały mu wśród psich lamentów wypłacone.

Bolszewik wziął linkę i zaczął ciągnąć psa ku Wołoczyskom. Biedna psina żałośnie spoglądała na swego byłego pana, w końcu rozdzierającym głosem krzyknęła:

— Przysięgam, że żaden bolszewik nigdy głosu mego nie usłyszy. To są ostatnie moje ludzkie słowa!

Pies poszedł w jedną stronę, a jego dawny pan w drugą stronę, ażeby się czasem bolszewik nie pomlarkował, że on w miejsce psa brzuchem mówił. Ale komisarz bolszewicki o tem nie wiedział i do dziś dnia prośbami i groźbami prosi psinę choć o jedno ludzkie słowo.

Jak wyglądają mieszkańcy Marsa?

Paryski uczony Edmund Perrier, kierownik Instytucyjno-przyrodniczego Muzeum w Paryżu i członek Akademii, przedstawia w swej książce „Życie na planetach” jak to od siebie skonstruował na naukowych podstawach — obraz ewentualnych mieszkańców Marsa.

Są blondynami o błękitnych oczach, posiadających większą zdolność przystosowania się, niż nasze oczy. Są wyżsi i silniej od nas zbudowani. Posiadają bardzo wielki nos, ogromnie rozrośniętą czaszkę, wybitnie szeroką pierś, nogi długie i cienkie. Kompletny brak wcięcia w pasie, oddzielającego klatkę piersiową od brzucha, nadaje Marsjanom wygląd zupełnie różny od ziemskich ludzi. Ponieważ na Marsie istnieje jedna tylko rasa, więc też niema walk o miejsce pod słońcem, natomiast panuje tam sprawiedliwość.

Marsjanie wierzą w mistyczny początek wszystkich rzeczy, a są jednak przekonani, że nigdy nie dojdzie do poznania istoty wszechrzeczy. Pod tym względem — powiada Edmund Perrier — są oni „o wiele mądrzejsi od ludzi na ziemi”.

Zaznaczyć jeszcze należy, że ksiądz Moreux, dyrektor obserwatorium astronomicznego w Bourges, stwierdza, że wskutek ektodów panujących na Marsie, topnienie śniegów w strefie polarnej postępuje żółtym krokiem. Natomiast południowa półkula Marsa, pokryta jest nadzwyczajną bujną roślinnością.

Gdzie pada najwięcej deszczu?

Do niedawna sądzono, że najobfitszą w deszcze okolicą na świecie jest dolina Chierrapunfi, w Assanie (Indje wschodnie), gdzie spada średnio 424 cali deszczu rocznie.

Obecnie jednak okazało się, że najbardziej dżdżystym zakątkiem świata jest wyspa Kanał, w archipelagu Hawajskim, tam bowiem spada średnio 455 cali deszczu rocznie. Na górzystej tej wyspie szczyty jej, zresztą niezbyt wysokie, pokryte są wierzchnie chmurami, a deszcz jest tam zjawiskiem niemal codziennem.

GRY I ZABAWY.

Król. Siedzi król, a obok stoją dwaj dworzanie. Przychodzą cudzoziemcy i pięknie się kłaniają, a nie mogąc się rozmówić, pokazują ruchami czego im potrzeba. Król zgaduje, a gdy zgadnie, cudzoziemcy uciekają (do mety o kilkadziesiąt kroków położonej) a dworzanie

starają się ich złapać. Złapani przechodzą do dworzana i łapią wędrowców. Cudzoziemcy za każdym razem proszą o co innego. Gra kończy się gdy wszyscy cudzoziemcy będą złapani.

Dla śmiechu.

GADUŁA.

Pewien gaduła był pomimo swej przechwałki bardzo głupim. Jeżeli tylko w towarzystwie była kłoda, mowa o podróży, to on mawiał, że bywał we wszystkich krajach i miastach. Raz zapytał go jego przyjaciel:

— Jeżeli tyle podróżowałeś to musisz dobrze znać geografję.

Lecz on odpowiedział:

— Nie, w geografji nie byłem, ale całkiem blisko niej przejeżdżałem.

LEKCJA GRAMATYKI.

Nauczycielka: Ja nie kąpałam się, ty nie kąpałeś się, ona nie kąpała się, my nie kąpałyśmy się, wy nie kąpałyście się, one nie kąpały się. Niech to powtórzy Anna Tępowska.

— Nikt się nie kąpał.

ROZWAŻNY.

Pani profesorowa wpada do pokoju, gdzie jej mąż pracuje, i woła:

— Rany boskie! leć po lekarza zaraz, Basła poškneła igłą!

— Nie pamięję, czego się drzesz jak stare prześcieradło, za parę groszy dostaniesz nową igłę.

W SZKOLE.

Nauczyciel: Kto tam śpi w ostatniej ławie?

Jeden z uczniów: To Jan Bazgralski, proszę pana profesora.

Nauczyciel: Cicho bądź! Niech Bazgralski sam odpowiada.

W SĄDZIE.

Dwóch włóczęgów odstawiono do sądu policji poprawczej.

— Gdzie pan mieszkaż? — pyta się urzędnik jednego z nich.

— Pod gołem niebem.

— A pan?

— O piętro wyżej.

— Panie sędzio — rzekł złodziej* — ja nie jestem tak zły, jak pan sędzia myśli, daj mi pan z łaski swej trochę czasu na skruchę i poprawę. . .

I wzruszony sędzia dał mu — piętnaście lat.

ARTYSTA Z MUSU.

— O rety, Wojtek, o poco ty małujesz świnie czarna farbą?

— Nasz pan zaprosił na polowanie na dziki kilku hrabiów, a dzików już tu wcale niema. kazał parę swoich skłoków pomalować, żeby były dzikie. . .

Przenosiny.

— Antek! skazany jesteś na 3 dni aresztu, za to, żeś w plątek pobił sąsiada.

— Ano trudno, trza siedzieć; na przyszłość prześwietny sędzio, to będę go grzmocił innego dnia.

— **Czytelnikom, czytelniczkom, korespondentom i korespondentkom Światka Młodzieży** przysyłamy ten numer z opóźnieniem dla trudności wskutek strejku, dla których odpowiedzi dziś jeszcze zamieścić nie możemy. Dziękujemy tylko za przesłane nam miłe liściki. — Red. S. M.